

ANALIZY

Niewydarzony urząd

CZĘŚĆ II

ZDZISŁAW M. RURARZ

Prezydentura w II RP, podobnie jak w czasie wojny na emigracji, gdyż o powojennej w Londynie nie można mówić poważnie, była urzędem ze wszech miar nie wydarzonym; o czym wspominałem już w poprzednim odcinku artykułu.

Jednakże na tym nie kończy się saga tego urzędu, gdyż dalszy jej ciąg miał miejsce w kraju, czemu należy poświęcić szczególną uwagę.

Otóż w okupowanym przez Niemcy kraju, a w okresie 1939-41 także przez ZSRR, powstała namiastka czegoś, co może przesadnie nazywano Polskim Państwem Podziemnym.

Państwo to miało jednak dwie orientacje, początkowo francusko-angielską, zwaną później "londyńską", a także komunistyczną, albo promoskiewską. Inne ugrupowania polityczno-zbrojne, które nie identyfikowały się z żadną z tych orientacji, były mniej ważne.

Co się dotyczy części "londyńskiej"

Komunistyczna część Podziemnego Państwa Polskiego, aczkolwiek formalnie częścią taką nie była, miała jednak zupełnie odmienną organizację w okupowanej Warszawie, w dniach 31 grudnia 1943 r. - 1 stycznia 1944 r., Krajowej Rady Narodowej, do której weszło dziewięć różnych partii i organizacji lewicowych z PPR na czele.

Inicjatywę powołania KRN wysunęła PPR, a konkretnie jej szef, wówczas Władysław Gomułka. Na ile była to jego własna inicjatywa, a na ile wynikała z podszepu Moskwy - trudno ustalić. Wiadomo natomiast, że PPR konsultowała sprawę z Moskwą. Moskwa podobno jednak milczała.

Tak czy inaczej, stworzono KRN, a przewodnictwem nad nią objął Bolesław Bierut, wówczas członek ścisłego kierownictwa PPR, ongiś działacz Kominternu i zapewne agent sowieckiego wywiadu.

Co się dotyczy samej tej instytucji, to była ona novum w tradycji polskiej, choć różnego rodzaju "rady" istniały już przedtem.

dnak, dekretem z 20 lipca 1944 r., KRN podporządkowała sobie działający w ZSRR wspomniany już ZPP, a także istniejącą tam Armię Polską, którą dekretem już w następnym dniu przemianowała na "Wojsko Polskie".

CO więcej, oficjalne źródła w PRL podawały też, że dekretem KRN z 21 lipca 1944 r. powołany został do życia Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego, faktyczny rząd, który działał "pod zwierzchnictwem KRN". Gomułka jednakże, w opublikowanych pośmiertnie w ubiegłym roku pamiętnikach pisze, że "PKWN został sformowany nie w Polsce, lecz w ZSRR. O powołaniu PKWN dowiedzieliśmy się z nasłuchu moskiewskiej stacji radiowej "Kościuszk" i innych radzieckich rozgłośni radiowych" (tom II, str. 435).

Tak czy inaczej, PKWN powstał, a władze KRN i PPR niemal w całości przeniosły się do Lublina. Po uznaniu PKWN przez ZSRR w dniu 26 lipca 1944 r. stało się jasne, że teraz już powstanie PRL,

w dniu 19 lutego 1946 r. tzw. Małej Konstytucji, równoległe do urzędu prezydenckiego powołano Radę Państwa, pod przewodnictwem Bieruta. Rada, oprócz jej przewodniczącego, miała w swoim składzie marszałka i wicemarszałków Sejmu, preza Najwyższej Izby Kontroli oraz, w wypadku wojny, Naczelnego Dowódcę. Mogły do niej wchodzić inne osoby wybrane przez Sejm. Rada miała tzw. inicjatywę ustawodawczą, zatwierdzała dekrety rządowe, a ponadto nadzorowała działające w terenie Rady Narodowe.

Tak więc, urząd prezydencki w Polsce, wtedy zwanej Rzeczpospolitą Polską, co prawda odtworzono po jakimś czasie, ale jakby go rozwodniono przez jednoczesne stworzenie Rady Państwa.

Co więcej, od początku nie było pełnej jasności kto w Polsce, pomijając już "widzialną i niewidzialną rękę Moskwy", jest faktycznie Osobą Nr 1. Formalnie był nią Bierut, bez względu na jego tytuły, choć faktycznie, do sierpnia 1948 r. był nią Go-

przesadnie nazywano Polskim Państwem Podziemnym.

Państwo to miało jednak dwie orientacje, początkowo francusko-angielską, zwaną później "londyńską", a także komunistyczną, albo promoskiewską. Inne ugrupowania polityczno-zbrojne, które nie identyfikowały się z żadną z tych orientacji, były mniej ważne.

Co się tyczy części "londyńskiej" Podziemnego Państwa, to jego najwyższe władze znajdowały się na emigracji, w kraju działał natomiast Delegat Rządu, w randze wicepremiera, podległy premierowi i prezydentowi w Londynie, a także Komendant ZWZ, od lutego 1942 r. Komendant Główny AK, podległy Wodzowi Naczelnemu na emigracji (poza krótkim okresem, kiedy to Wodzem Naczelnym został, po odejściu z tego stanowiska gen. Kazimierza Sosnkowskiego, gen. Tadeusz Bór-Komorowski, znajdujący się wtedy w niewoli niemieckiej po upadku Powstania Warszawskiego).

Inaczej przedstawiała się sprawa komunistycznego Podziemia, które na dobre datuje się od 5 stycznia 1942 r., kiedy to dwie "grupy inicjatywne" przerzucone do okupowanej Polski z ZSRR, utworzyły przy pomocy będących na miejscu komunistów, Polską Partię Robotniczą, która w maju tegoż roku powołała do życia Gwardię Ludową.

Co więcej, w Moskwie, od marca 1943 r. istniał też Związek Partiotów Polskich, który zaczął tworzyć Armię Polską w ZSRR. Od stycznia 1944 r. istniało też w Moskwie Centralne Biuro Komunistów Polskich.

W każdym razie, komunistyczne Podziemie w kraju, podobnie jak "londyńskie", miało też swoją emigrację, choć to pierwsze, przynajmniej pozornie, nie było podległe władzom emigracyjnym w Moskwie, ani tym bardziej ZSRR.

z Moskwą. Moskwa podobno jednak milczała.

Tak czy inaczej, stworzono KRN, a przewodnictwo nad nią objął Bolesław Bierut, wówczas członek ścisłego kierownictwa PPR, ongiś działacz Kominternu i zapewne agent sowieckiego wywiadu.

Co się tyczy samej tej instytucji, to była ona novum w tradycji polskiej, choć różnego rodzaju "rady" istniały już przedtem. Najbardziej przypominała ona tworzone tu i ówdzie w listopadzie 1918 r. komunistyczne Rady Delegatów Robotniczych, ale tamte nie miały jednakże charakteru ogólnonarodowego.

KRN, z formalnego punktu widzenia, była z jednej strony "podziemnym parlamentem", a z drugiej jakby "kolektywnym prezydentem", gdyż w Radzie utworzono Prezydium, na czele którego też stał Bierut.

KRN, już pierwszym swoim dekretem powołała do życia z dniem 1 stycznia 1944 r. Armię Ludową, która powstała z przekształcenia się GL, a w terenie zaczęła tworzyć "rady narodowe", załączek przyszłej władzy państwowej.

W każdym razie, formalnie przynajmniej, KRN nie miała żadnego "rządu tymczasowego", ani tym bardziej urzędu prezydenckiego.

Jako ciekawostkę warto też dodać, że oficjalne źródła w PRL podawały potem, że KRN została uznana przez ZSRR za "przedstawicielkę" narodu polskiego już w maju 1944 r. W rzeczywistości jednak, ZSRR nie uznał oficjalnie KRN, choć Stalin przyjął jej delegację 26 maja 1944 r.

Niemniej jednak, KRN pojawiła się na polskiej scenie polityczno-państwowej i jak się to potem okazało, odegrała ona potem olbrzymią rolę w organizowaniu się "ludowej państwowości" w Polsce.

Państwowość ta, jak wiadomo, zaczęła się rodzić już na dobre w lipcu 1944 r. Jak z tymi narodzinami było naprawdę - nie jest jasne do dnia dzisiejszego. Niemniej je-

państwowa, a właściwie radkiej

organizacji nie było aż do utworzenia (w okupowanej...)

sformowany nie w Polsce, lecz w ZSRR. O powołaniu PKWN dowiedzieliśmy się z nasłuchu moskiewskiej stacji radiowej "Kościuszko" i innych radzieckich rozgłośni radiowych" (tom II, str. 435).

Tak czy inaczej, PKWN powstał, a władze KRN i PPR niemal w całości przeniosły się do Lublina. Po uznaniu PKWN przez ZSRR w dniu 26 lipca 1944 r. stało się jasne, że teraz już powstanie PRL, choć formalnie nazwę taką przyjęto dopiero 22 lipca 1952 r.

W Lublinie więc działały równolegle KRN i PKWN, gdzie ta pierwsza instytucja pełniła rolę, jak to już wspominałem, zarówno "parlamentu", jak też "kolektywnego prezydenta", w postaci Przewodniczącego Prezydium Rady, druga zaś instytucja była faktycznym rządem. Zresztą, dekretem KRN z 31 grudnia 1944 r., PKWN przemianowano na Rząd Tymczasowy, który potem, tj. w dniu 28 czerwca 1945 r., również dekretem KRN, przemianowano na Rząd Jedności Narodowej, po tym jak Stanisław Mikołajczyk i inni działacze zdecydowali się na współpracę z nowymi władzami.

Niemniej jednak, formalnie przynajmniej, urzędu prezydenckiego nie utworzono, choć Bieruta nazywano "głową państwa".

Sytuacja powyższa uległa zmianie dopiero w rezultacie "wyborów" z 19 stycznia 1947 roku do Sejmu Ustawodawczego, kiedy to, jak wiadomo, lewica z PPR na czele odniosła druzgocące zwycięstwo (oczywiście sfalszowane).

W dniu tym, zanim nawet Sejm się zebrał, KRN przestała formalnie istnieć. W dniu 6 lutego zaś Sejm, gdyż Senat został obalony (nigdy nie był zresztą po wojnie wskrzeszony) drogą tzw. Referendum Ludowego z 30 czerwca 1946 r., powołał do życia rząd, a także, w oparciu o Konstytucję Marcową z 1921 r. powołał urząd prezydenta. Na stanowisku tym zaprzysiął Bieruta. Wkrótce potem, po przyjęciu

wtedy zwanej Rzeczpospolitą Polską, co prawda odtworzono po jakimś czasie, ale jakby go rozwodniono przez jednoczesne stworzenie Rady Państwa.

Co więcej, od początku nie było pełnej jasności kto w Polsce, pomijając już "widzialną i niewidzialną rękę Moskwy", jest faktycznie Osobą Nr 1. Formalnie był nią Bierut, bez względu na jego tytuły, choć faktycznie, do sierpnia 1948 r. był nią Gomułka, który niezależnie od szefowania w PPR był także wicepremierem i ministrem Ziem Odzyskanych.

Naprawdę jednak, ani jeden, ani drugi, nie miał kontroli nad Ministerstwem Bezpieczeństwa Publicznego, gdzie rządili sowieccy "doradcy", tak samo jak nad WP kontrola obu była daleko niepełna. Potem, kiedy w październiku 1949 r. na stanowisko ministra obrony narodowej przyszedł marszałek Konstanty Rokossowski, nikt w Polsce, z Bierutem włącznie, nie miał już najmniejszej kontroli nad wojskiem.

Co się tyczy Bieruta, to mimo udawania bezpartyjnego brał on regularny udział w posiedzeniach Biura Politycznego KC PPR, które faktycznie stało się "kolektywnym prezydentem" w Polsce, a nie tak czy inaczej nazywany urząd prezydencki.

Zresztą, po obaleniu Gomułka w sierpniu 1948 r., Bierut "powrócił" do czynnej pracy partyjnej i objął funkcję Sekretarza Generalnego PPR, co istotnie uczyniło go w kraju Osobą Nr 1, choć i wtedy była ona uzależniona od Moskwy we wszystkich sprawach.

Urząd prezydencki w powojennej Polsce, odradzający się etapami i w końcu nigdy tak na dobre nie odrodzony, skończył się jednak formalnie wraz z przyjęciem 22 lipca 1952 r. nowej Konstytucji, która, już oficjalnie, powołała do życia PRL.

Dlaczego Moskwa postanowiła zlikwidować ten dziwaczny urząd prezydencki, choć w sąsiadującej Czechosłowacji utrzymano go od początku - tego nie wiemy.

ANALIZY

W każdym razie, Bierut został premierem, a zmodyfikowana Rada Państwa, do której wchodziło teraz, obok przewodniczącego, jego czterech zastępców, jedenastu członków i Sekretarz, została "kolektywnym prezydentem". Przewodniczącym jej został Aleksander Zawadzki.

Niemniej jednak, Bierut, jako szef partii, teraz już PZPR od grudnia 1948 r., a także premier, był osobistością w PRL nadal najważniejsza (drugą osobistością, a w sprawach wojskowych pierwszą, był Rokossowski).

Jednakże, w związku z "nowymi wiadomymi" wiejącymi z Moskwy, kiedy to pojawiła się nowa moda na dzielenie i łączenie urzędów partyjno-państwowych, w dniu 18 marca 1954 r. Bierut zrezygnował z funkcji premiera, pozostając tylko szefem partii, teraz zwanym I Sekretarzem KC.

Odtąd też, faktycznie do lutego 1981 r., kiedy to premierem został gen. Wojciech Jaruzelski, zachowując stanowisko ministra obrony narodowej, osobą nr 1 w PRL był zawsze szef partii, bez względu na jego stanowiska państwowo-rządowe.

Odnosnie natomiast urzędu prezydenckiego - zapanowała na długie lata cisza. Prawda, coś tam za Gierka przebąkiwano o jego odtworzeniu, ale nic z tego nie wyszło. Dopiero za "pierestrojki" Gorbaczowa sprawa stała się raptem aktualna, choć co prawda odtworzenie urzędu prezydenckiego w PRL wyprzedziło o kilkanaście miesięcy stworzenie tego urzędu w samym ZSRR.

Tak czy inaczej, sprawa odtworzenia urzędu prezydenckiego w PRL stanęła w czasie prac "okrągłego stołu", a konkretnie na jego sesji w Magdalence w dniu 2 marca 1989 r. Wniosek zgłosił szef delegacji rządowej gen. Czesław Kiszczak, a "So-

raz drugi, a w obu wypadkach prezydentem zostali działacze partii komunistycznej, niewątpliwie mający ściśle powiązania z Moskwą.

Jednakże, jak się wkrótce okazało, rozwiązanie to było o charakterze przejściowym, choć wątpliwe czy jego polscy aktorzy orientowali się we wszystkich zawiłościach moskiewskiej gry.

Tak czy inaczej, pozostający w "rezervie" Lech Wałęsa, którego niczym nie wybierano i nie mianowano w czasie zmian w 1989 r., choć szefował o n zwycięskiej nicy "Solidarności", rozpoczął już w dniu 12 grudnia 1989 r. pierwsze swoje potyczki w ramach "wojny na górze", atakując premiera Tadeusza Mazowieckiego, podobnie jak on z "Solidarności", a nie prezydenta Jaruzelskiego, z ciągle jeszcze istniejącej PZPR (uległa ona samorozwiązaniu się dopiero 30 stycznia 1990 r.).

Odtąd już zaczęło się, pełne zastanawiających zakrętów, wspiananie się Wałęsy do urzędu prezydenckiego. Już bowiem 9 lutego 1990 r. "Tygodnik Solidarność" napisał, że Wałęsa powinien być prezydentem, a 19 marca tegoż roku, na spotkaniu Wałęsa-Havel, "Lechu" powiedział, że "w temacie prezydenta jesteśmy do tyłu...".

Co więcej, w wywiadzie dla "Życia Warszawy" z 10 kwietnia 1990 r. Jarosław Kaczyński wypowiedział się za objęciem urzędu prezydenckiego przez Wałęsę, który też ową propozycję natychmiast zaakceptował.

Na tym nie koniec. Jarosław Kaczyński, który 12 maja 1990 r. utworzył partię Porozumienie Centrum, partię wtedy prowałęsowską, już 14 maja, w imieniu tej partii, oficjalnie zgłosił kandydaturę Wałęsy na prezydenta. W dniu następnym zaś, Wałęsa,

Jak wiadomo, do wyborów prezydenckich stanęło trzech kandydatów: Lech Wałęsa, Tadeusz Mazowiecki, a także "człowiek znikąd", Stanisław Tymiński.

Wybory, a jak się okazało ich I tura, nie dały zwycięstwa nikomu. Przy frekwencji nieco ponad 60 procent, Wałęsa zdobył 39,9 procent głosów, Tymiński 23,1 procent, a Mazowiecki tylko nieco ponad 18 procent, odpadając tym samym z kolejnej tury wyborów, która odbyła się 9 grudnia 1990 r. Frekwencja wyborcza była jeszcze mniejsza i wyniosła tylko 53,4 procent, ale Wałęsa, w którego wybór szczególnie zaangażował się Kościół, zdobył tym razem 74,25 procent głosów, zwyciężając zdecydowanie Tymińskiego.

Jednakże, biorąc pod uwagę frekwencję wyborczą, poparcie udzielone prezydenturze Wałęsy wyniosło tylko niecałe 40 procent dorosłych Polaków, poparcie stanowczo za małe jak na urząd, który miał gruntownie przebudować Polskę.

Wałęsę, jako prezydenta III RP, albo może tylko PRL-bis, zaprzysiężono 21 grudnia 1990 r., co niewątpliwie zapoczątkowało nowy okres w historii Polski, okres, powiedzmy sobie to szczerze, wywołujący rumieńce wstydu i zgorszenie wśród Polaków, a drwiny oraz lekceważenie u cudzoziemców.

Potem, jak wiadomo, w dniu 27 października 1991 r. odbyły się już całkowicie wolne wybory do nowego Zgromadzenia Narodowego, które w efekcie spowodowały nieprawdopodobne rozproszenie sił politycznych, czyniąc tym samym organ ten wysoce niesprawnym. Siłą rzeczy również rząd stał się organem mało sprawnym

niem życiowym, odpowiednim zachowaniem się, a nawet pracą nad sobą.

Z Wałęsą zaś było i jest beznadziejnie pod tym względem. Nie tylko ma żenująco niskie wykształcenie jak na wymogi dzisiejszej Polski, ale ponadto źle, a często niezrozumiale, mówi po polsku. Ponadto mówi za dużo i często także rzeczy wzajemnie ze sobą sprzeczne. Jego zaś zachowanie się, zwłaszcza w czasie wizyt oficjalnych za granicą, pozostawia też wiele do życzenia, albo często bywa kompromitujące.

Co gorsza, również jego rodzina najbliższa nie pomaga mu w utrzymywaniu "prezydenckiego fasonu". Ciągłe nieobecna w stolicy żona, czy synowie będący na bakier z prawem, to niewątpliwie nie wizerunek "pierwszej rodziny" w kraju godny naśladowania.

Sam natomiast styl pracy Wałęsy (zakładając, że w ogóle pracuje), pracy w otoczeniu osobników podejrzanych, jak choćby Mieczysław Wachowski czy ks. Franciszek Cybula, to osobny już rozdział.

Zresztą, nie to jest nawet najgorsze. Wałęsa bowiem, czy to działając z własnej inicjatywy, czy działając za podszeptem kogoś, faktycznie zniszczył wszystkie te siły opozycyjne, które były opozycją autentyczną, a nie agenturalną. Jego "zmiany nóg", z prawej na lewą i odwrotnie, tak w końcu pokierowały sprawami, że wrześniowe wybory do Zgromadzenia Narodowego nie mogły dać innego wyniku niż dały. W efekcie tego PRL została zrehabilitowana, a III RP, jeśli się w ogóle narodziła, została pozbawiona.

Co robić zatem w tej sytuacji?

Co do mnie, to powtarzam to jeszcze

w PRL wyprzedziło o kilkanaście miesięcy stworzenie tego urzędu w samym ZSRR.

Tak czy inaczej, sprawa odtworzenia urzędu prezydenckiego w PRL stanęła w czasie prac "okrągłego stołu", a konkretnie na jego sesji w Magdalence w dniu 2 marca 1989 r. Wniosek zgłosił szef delegacji rządowej gen. Czesław Kiszczak, a "Solidarność", po jakimś tam "ale", propozycję przyjęła. Odpowiedni zapis "stół" przyjął na swojej sesji 3 kwietnia 1989 r. W dniu tym uzgodniono też projekt poprawki konstytucyjnej w Art. 28F, gdzie w punkcie 1a brzmiał on następująco: "Prezydent czuwając nad Konstytucją Rzeczypospolitej Ludowej..." itd.

A więc, nowy urząd prezydencki miał bronić interesów PRL, a "Solidarność" zgadzała się z tym całkowicie, nie mówiąc już o tym, że zgodziła się także na zarezerwowanie odtwarzanego urzędu prezydenckiego dla PZPR, a konkretnie dla Jaruzelskiego.

Po tym zapisie poprawkę do Konstytucji wprowadzono i pozostało teraz wybrać tylko odtworzone Zgromadzenie Narodowe, które z kolei miało wybrać prezydenta.

Jak wiadomo, częściowo wolne wybory do Zgromadzenia (do Sejmu ograniczone, a do Senatu istotnie wolne) odbyły się w dniach 4 i 18 czerwca 1989 r., dając "Solidarności" zwycięstwo wszędzie tam, gdzie było to możliwe. Co się tyczy wyborów prezydenckich na forum Zgromadzenia Narodowego, to odbyły się one w dniu 19 lipca 1989 r., kiedy to Jaruzelski, tylko jednym głosem, dzięki "Solidarności", uzyskał wymagane minimum i wybory wygrał. Odtworzony urząd był ciągle jeszcze urzędem PRL, gdyż formalnie przestała ona istnieć dopiero w końcu 1989 r., przyjmując nazwę Rzeczypospolitej Polskiej.

W ten więc sposób, zresztą ze wszechmiar dziwaczny i podejrzany, prezydenturę w Polsce powojennej odtworzono już po

wał.

Na tym nie koniec. Jarosław Kaczyński, który 12 maja 1990 r. utworzył partię Porozumienie Centrum, partię wtedy prowałęsowską, już 14 maja, w imieniu tej partii, oficjalnie zgłosił kandydaturę Wałęsy na prezydenta. W dniu następnym zaś, Wałęsa, teraz już oficjalnie, rozpoczął swoją "wojnę na górze" z Mazowieckim, choć celował w niej nie na urząd premiera, a na urząd prezydencki.

No i wreszcie, 8 czerwca 1990 r., Wałęsa wybełkotał słynną już sentencję, że "nie chcem, ale będę musiał być prezydentem..."

Prawdę mówiąc, nawet mu wierzę. Myślę bowiem, że może istotnie nie chciał być żadnym prezydentem, ale mu zwyczajnie kazano nim być, a on tylko "musiał musieć"...

Teraz wydarzenia toczyły się już bardzo szybko. W dniu 28 lipca 1990 r. stu posłów i senatorów zwróciło się z apelem do Jaruzelskiego, żeby zrezygnował z prezydentury, a 17 sierpnia z kolei Wałęsa wypowiedział się za przyspieszeniem wyborów do Zgromadzenia, jak też wyborów prezydenckich, tym razem już powszechnych.

Warto może też dodać, że PC Kaczyńskiego prowadziło w tym czasie szeroką akcję zbierania podpisów pod hasłem "Jaruzelski musi odejść!"

I wreszcie, 17 września 1990 r. Wałęsa oficjalnie zgłosił swoją kandydaturę na urząd prezydencki, a już w dniu następnym, o dziwo, "na herbatce u Prymasa", Jaruzelski zapowiedział swoją rezygnację z prezydentury, anulując nawet czekającą go oficjalną wizytę w USA. W osiem dni później Sejm podjął decyzję skrócenia kadencji Zgromadzenia, jak też decyzję o powszechnych wyborach prezydenckich, które wyznaczono na 25 listopada 1990 r.

Potem, jak wiadomo, w dniu 27 października 1991 r. odbyły się już całkowicie wolne wybory do nowego Zgromadzenia Narodowego, które w efekcie spowodowały nieprawdopodobne rozproszenie sił politycznych, czyniąc tym samym organ ten wysoce niesprawnym. Siłą rzeczy również rząd stał się organem mało sprawnym i trwałym.

Sytuację tę pogorszyło przyjęcie tzw. Małej Konstytucji 17 października 1992 r., która wniosła wiele niejasności do funkcjonowania organów państwowych, zwłaszcza urzędu prezydenckiego. Stąd też, pomijając już różne fanaberie Wałęsy, zaostrzyły się stosunki na linii prezydent - rząd i odwrotnie.

Co gorsza, znane wydarzenia z "listą Macierewicza", na której jako b. agent SB znalazł się również sam prezydent, choć nazwisko jego ostatecznie nie trafiło oficjalnie do publicznej wiadomości, urząd prezydencki podkopało w oczach narodu. Skończyło się co prawda tylko na upadku rządu Jana Olszewskiego, a nie dymisji Wałęsy z prezydentury, ale osad całego wydarzenia pozostał przecież do dziś.

O prezydenturze Wałęsy nie ma się co rozpisywać, gdyż są to sprawy powszechnie znane.

Jedno nie ulega jednak wątpliwości, pomijając już kulisy całej sprawy, Wałęsa udowodnił ponad wszelką wątpliwość, że w Polsce, niestety, każdy może być prezydentem... Dewaluacja urzędu prezydenckiego, a nawet wręcz jego ośmieszenie, jest może dziełem przypadku, ale nie jest też wykluczone, że tak właśnie miało być.

Polska, nawet w czasach PRL, nie mówiąc już o przedwojennej, miała na tzw. świeczniku ludzi nie gorszych niż w innych krajach. Nawet te osoby, których wykształcenie formalne pozostawiało sporo do życzenia, swoje braki nadrabiały doświadcze-

ponieważ w tym czasie, że wczesniowe wybory do Zgromadzenia Narodowego nie mogły dać innego wyniku niż dały. W efekcie tego PRL została zrehabilitowana, a III RP, jeśli się w ogóle narodziła, została pogrzebana.

Co robić zatem w tej sytuacji?

Co do mnie, to powtarzam to jeszcze raz, urząd prezydencki w Polsce uważam za urząd niewydarzony i wobec tego jego misję historyczną uważam za skończoną. Jeśli są w Polsce siły, które naprawdę mogą dla niej zdziałać coś dobrego, to w istniejącej aktualnie sytuacji urząd ten powinny one zlikwidować, a nie utrzymywać go drogą kolejnych wyborów.

Urząd prezydencki w Polsce, w normalnej sytuacji, jest niewątpliwie potrzebny, ale ponieważ sytuacja jest nienormalna, więc można się na razie bez niego obejść. Podobnie było już zresztą przez jakiś czas w II RP, a także przez długi czas w PRL. Trudno nawet powiedzieć, że z tego powodu właśnie wydarzyło się coś wielce niepomyślnego, jakieś straty nie do odrobienia. Różne negatywne epizody w przeszłości miałyby i tak miejsce, bez względu na istnienie urzędu prezydenckiego.

Zamiast urzędu prezydenckiego powinna być powołana do życia jakaś "Rada Rzeczypospolitej", która byłaby "kolektywnym prezydentem", a na zewnątrz jej przewodniczący, a może nawet nacelnik, mógłby być quasi prezydentem. Rada taka mogłaby też zastąpić Senat, który ani przed wojną, ani teraz, większej użyteczności nie wykazuje.

Tak czy inaczej, takie właśnie rozwiązanie byłoby o wiele lepsze od kolejnych widowisk w postaci powszechnych wyborów prezydenckich, których rezultat, jaki by już nie był, nic w życiu narodu nie zmieni na lepsze.